

ADAM WIARYGA-MINIESKI

# Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

14

## ROZDZIAŁ XVI.

— Ładny ptaszek z tego Potyrowskiego, z tego ulubieńca cioci...

— Anielko, cóż to znowu za sposób mówienia? Jak ty się wyrażasz?! Mój Potyrowski...

— A bo ciocia zawsze go chwaliła, broniła, wyróżniała, chociaż ja od pierwszej chwili nie miałam zaufania do niego... No i pokazuje się, że miałam słuszość!

— Cóż się stało nowego?

— Niech ciocia sobie wyobrazi — opowiadała z oburzeniem Anielka — przychodzi dzisiaj do ochronki jakaś wymizerowana, nędznie ubrana kobiecina i przyprowadza dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę z prośbą aby je przyjąć na popołudniową naukę. Dzieciaki bardzo milutkie, ale bose, w łachmanach poprostu, chociaż porządnie umyte i uczesane, no i kaszlą brzydko. Ależ, moja kobieto — mówię jej — te dzieci trzeba ubrać, obuć, poradzić się lekarza. A skądże ja wezmę pieniędzy — odpowiada mi na to — kiedy ja mam wszystkiego czterdzieści koron pensji po mężu, co był robotnikiem przy kolei... Jakże się z tego wyżywić i ubrać przy takiej drożyznie w obcym mieście.

— Dlaczegoż nie zgłosiła się do jakiegoś polskiego stowarzyszenia o zapomogę! — wtrąciła pani Krystyna.

— Właśnie o to samo ją zapytałam. Nie zgadłaby cioteczka, co mi odpowiedziała. „Chciałam już dawno iść do tych pań ze św. Wincentego, bo słyszałam, że tam można dostać jakie buty, coś z ubrania i lekarstwo dla dziecka, tylko pan hrabia nie pozwalał“. Jaki pan hrabia? — pytam zaniepokojona „Ano jaśnie pan hrabia Potyrowski, który się nami opiekował“. Uważa ciocia, hrabia! Zaczynam wypytywać, jakiego rodzaju była ta opieka i czegoż się dowiaduję... Otóż Potyrowski, choć Bóg go tam wie, jak on się właściwie nazywa, bo mnie się zdaje, że on taki inżynier, jak i hrabia — wynajął tym biedakom jakąś wilgotną, ciemną izdebkę w suterynie i za to zrobił sobie z nich niewolników, bezpłatną służbę. Nie pozwał biednej kobiecie szukać żadnej pomocy, bo to zdradziłoby go. Zmuszał ją zaś do posłuszeństwa groźbą, że odesła ich do baraków, a baraków bała się Antoniowa, jak ognia. Tak więc, wyglądało owo jego opiekowanie się „biednymi robotniczymi rodzinami“, na które zewsząd zbierał datki. To oszust poprostu i to bardzo szkodliwy w dodatku, bo wyżył i gnębił biednych ludzi...

— Czyż podobna! — mówiła zmieszana pani Krystyna — taki dystygowany człowiek.

— Niestety, to prawda, ciociu! Przykre to, że wśród Polaków znalazł się taki człowiek, ale ostatecznie trzeba się z tem pogodzić, że w naszym społeczeństwie, równie jak w każdym innym, istnieją osobniki, które usiłują łowić ryby w mętnej wodzie. Na szczęście urwała się ta piękna „filantropia“ „pana hrabiego“, bo jak mi opowiadała Antoniowa, zaczął się przenosić do mieszkań coraz tańszych, przestał ją „wspierać“ zupełnie, a nawet „pożyczał“ sobie po kilka i kilkanaście koron z jej malutkiej pensyjki. Nareszcie biednej kobiecie zbrakło cierpliwości, zebrała na odwagę i przyszła z dziećmi do ochronki. Naturalnie, zajęłam się nią, dałam jej coś od siebie na najniezbędniejsze wydatki, no i posłałam ją z karteczką do pani przewodniczącej naszego stowarzyszenia.

Pani Krystyna milczała niemile dotknięta. Na Potyrowskim zależało jej już obecnie mało, ale najmniej przykrą była wiadomość, że człowiek, w którego stowarzyszeniu znajdowała upodobanie, jest zwykłym oszustem.

Wstyd jej było przed Anielką, że tak młoda dziewczyna okazała większe znawstwo ludzi, aniżeli ona, doświadczona kobieta.

W innym też zupełnie świetle przedstawiały się komplementy, czułe niedomówienia i wymowne spojrzenia Potyrowskiego.

— Przykre to bardzo, ale trudno, omylić się można — rzekła wreszcie po dłuższej chwili milczenia — naturalnie, zerwę znajomość z tym panem... Zresztą w ostatnich czasach i tak widywałam go rzadko.

Wikcia, która zbierała właśnie talerze ze stołu, robiła to bardzo powoli, nie tracąc ani słowa z rozmowy pań.

Nie uszło to uwagi Anielki.

— Proszę, niech Wikcia — rzekła dość szorstkim tonem — zbierze prędzej talerze i idzie do kuchni! Wikcia wzięła talerze i bez słowa wyszła z pokoju.

— Nie podoba mi się ta Wikcia — odezwała się Anielka — Po pierwsze nie budzi we mnie zaufania już dlatego choćby, że jest protegowaną Potyrowskiego, a powtórę twarz jej robi na mnie wielce niesympatyczne wrażenie... Przytem zauważyłam, że podsłuchuje nas...

— Moja droga Anielko, już temu to daj spokój... Wikcia jest bardzo dobrą służącą i nie mogę się na nią skarżyć... Powiadasz, że podsłuchuje? Być może. A niechże sobie podsłuchuje, jeżeli jej to robi przyjemność... Specjalnych tajemnic nie mamy... Na szukanie nowej służącej nie namówisz mnie... Nie mam na to czasu.

— Wiem, wiem, — zawołała wesoło Anielka — cioteczka całą duszą oddana swoim rannym i o nich tylko myśli. Doprawdy, ciocia więcej robi, aniżeli te wszystkie „szpitalne sekcje“, których jest coś trzy, a jedna zwalcza drugą... W jednej przewodniczącą jest Zerwanówna... Wyobrażam sobie, jak wyglądają prace takiej „sekcji“. Słyszałam coś o tem... Oficerowie, rozumie się młodzi i nieżonaci, otrzymują pasztety, buliony, drogie wina i owoce, ale żaden żołnierz daru się nie doczeka.

Anielka się śmiała, a pani Krystyna z zadowoleniem spoglądała na rozweseloną twarz siostrzenicy.

— Nareszcie — pomyślała — zaczyna się otrząsać z tej nieznosnej melancholii. Tak! To wpływ Montwiła, nic innego!

— Widziałas się dzisiaj z panem Stanisławem? — zapytała pani Krystyna, jakby od niechcenia.

— Z panem Stanisławem? Nie! Ale wie ciocia, co mnie cieszy i w dobry humor wprowadza?

— Cóż takiego?

— Moskale ustępują krok za krokiem z Galicyi. Wkrótce już nasze okolice będą wolne... Będziemy mogli wrócić do Zalesinek, do naszych kochanych Zalesinek, cioteczko! Ja żyję tylko tą myślą, tą nadzieją!

Ciotka na wzmiankę o wyjeździe zrobiła jakąś niewyraźną minę.

— No i nie będzie ci żal tej pracy twojej, którą tak polubiłaś, nie będzie ci żal... nikogo w Pradze.

— W pracy zastąpi mnie kto inny — mówiła Anielka, nakładając ciotce na talerz kompotu — zresztą wychodzący nasi zaczęną się rozjeżdżać... Naturalnie, że będzie mi przykro rozstawać się z sympatycznymi osobami, które tutaj poznałam, na przykład z panią Winnicką albo z tą ładną Józią Maliniewiczówną, ale trudno...

— A pan Stanisław? — zapytała podstępnie ciotka.

— Pan Stanisław?... O! To bardzo miły, dobry i rozumny chłopiec. Wie ciocia, on jest Królewianinem, nieprędka więc będzie mógł powrócić w swoje strony. Zaprosimy go do Zalesinek, jeżeli zdoła uzyskać pozwolenie na wyjazd.

— Dobrze, Anielko, chociaż na razie niema o czem mówić, bo do wyjazdu jeszcze daleko. Nie wiadomo zresztą, jak będą wyglądały Zalesinki po inwazji. Może dwór spalony lub bardzo zniszczony...

— Eh! Już ja widzę, że ciocia się wcale do domu nie spieszy.

Pani Krystyna nic nie odpowiedziała.

— A do którego szpitala ciocia dzisiaj pójdzie? — zapytała znowu po chwili Anielka — Pewnie na Karlin albo na Nasle, bo tam cioteczka dawno nie była... A może tam, gdzie to, jak mi ciocia opowiadała, istna wieża Babel narodów. Leżą Czesi, Niemcy, Rusini, Węgrzy, Chorwaci, a wśród tych wszystkich jeden jedyny Polak.

— Nie! — odparła wahającym nieco tonem pani Krystyna — Pójdę do szpitala w Rudolfinum.

— Tak? Do Rudolfinum? — zdziwiła się Anielka — Toż przecie ciocia od kilku dni chodzi tam codziennie.

Pani Wolska zaczęła nerwowo mieszać łyżeczką w kompiecie i wpatrzyła się w swój talerz, jakby unikając wzroku siostrzenicy.

— Mam tam chorych, których odwiedzać muszę codziennie! — odrzekła po chwili.

— Ach! To co innego! W takim razie wypada nam wspólna droga, podprowadzę cioteczkę.

— — — — —  
Pani Krystyna wstępowała na schody szpitala w Rudolfinum z pewnem wahaniem i uczuciem nieokreślonego niepokoju.

Zapytywała sama siebie, dlaczego od tygodnia odwiedzała codziennie ten szpital, w którym prawie wszyscy Polacy są już rekonwalescentami, podczas gdy gdzieindziej oczekują na nią niecierpliwie chorzy.

Dlaczego krótko bawi w innych salach, a tak chętnie i pospiesznie dąży do sali, gdzie leży cho-

raży Walczak, człowiek nieznany jej przecież zupełnie, o nic nie mówiącemu dla niej, skromnemu mieszczańskiemu, czy nawet chłopskiemu nazwisku?

— Zal mi go! — tłumaczyła sobie pani Krystyna — Taki młody, sympatyczny, a tak ciężko ranny... Miło mi widzieć, jak młodość i sztuka lekarska biorą górę nad niebezpieczeństwem, jak życie zwycięża śmierć...

Nie chciała się przyznać do tego sama przed sobą, że niewysłowioną przyjemność sprawia jej wdzięczne spojrzenie pięknych, wyrazistych oczu rannego, kiedy odbiera przyniesione przez nią kwiaty i owoce — nie chciała uświadomić sobie, że tęskni wprost za widokiem tej młodzieńczej twarzy, za miłym, dziwnie za serce chwytającym uśmiechem, za dźwięcznym, metalicznym, o ciepłym tonie głosem.

Walczak w ostatnich dniach czuł się lepiej, odzyskał przytomność, poznawał otaczające go osoby i nawet rzucał kiedy niekiedy po kilka słów, bo mówić więcej lekarz mu zabronił.

Pani Wolskiej okazywał wielką wdzięczność za codzienne odwiedziny i niezwykłą troskliwość.

Właśnie wczoraj ranny skarżył się, że nudno mu tak ciągle leżeć na wznak.

— Gdyby to można było przynajmniej coś przeczytać... — mówił z westchnieniem.

Pani Krystyna wzięła dzisiaj ze sobą lekką, wesołą powieść, którą postanowiła czytać głośno choremu.

— Zrobiłabym to przecież dla każdego innego chorego — wmawiała w siebie.

Początkowo zamierzała udać się naprzód do sali, w której pełniła służbę panna Rasińska, ale po chwili namysłu się, zawróciła i poszła spiesźnie do Walczaka.

Dlaczego?

O! Wieczna zagadka serca kobiecego, które zachowuje swą młodość długo, czasem zadługo...

Róże jesienne pachną nieraz silniej, aniżeli słoneczne kwiaty wiosny.

— — — — —

Zaledwie Anielka „w kuchni“ rozpałała maszynkę gazową i zabrała się do gotowania herbaty, drzwi otwarły się z trzaskiem i ukazała się w nich Józia.

Anielka spojrzała na nią z przestachem i zdumieniem, tak była zmieniona.

Twarz miała błądą, nabrzmiała od płaczu, oczy zaczerwienione, podpuchnięte. Zakiet zarzuciła na bluzkę, krzywo zapiętą, czapeczkę wsunęła niedbale na włosy, rozrzucone w nieładzie, jakby wcale dnia tego nieczesane.

— Józiu, na litość Boską! Jak ty wyglądasz?! Co się stało?

Józia usiadła na krześle, ukryła twarz w dłoniach i, nie zważając na obecność kilkunastu obcych osób w sali, wybuchła głośnym płaczem.

Anielka podbiegła ku niej i usiłowała oderwać jej rękę od twarzy.

— Co się stało? Czy jakie nieszczęście?!

— Ojciec przyjechał wczoraj... — wyszlochała Józia.

— No! To chyba żadna katastrofa...

— Ach! Gdybyś wiedziała!...

— W każdym razie staraj się uspokoić, Józiu, przestań płakać... Wszyscy się patrzą...

— Wszystko mi jedno...

— Poco jednak zwracać na siebie uwagę obcych ludzi i wywoływać niepotrzebne komentarze? Napij się wody, uspokój się i opowiedz mi, o co właściwie chodzi.

Zbliżyła do ust przyjaciółki szklanekę z wodą.

Józia wypila kilka łyków wody, otarła chusteczką oczy i trochę uspokojona zaczęła opowiadać:

— Ach! Co się u nas wczoraj działo!... Ojciec przyjechał rano, wpadł do mieszkania jak burza — taki zły! Nigdy go jeszcze takim nie widziałam... Nawet nie przywitał się z nami, tylko zaraz zaczął krzyczeć na mnie najgorszymi słowami... Wołał, że jestem jego hańbą, zakałą, że mnie palcami wytykają... Byłby mnie bił, ale mnie obroniły Kazia i nasza stara, pocziwa Agnieszka... Ojciec wymówił Agnieszce służbę, chociaż ona służy u nas już przeszło lat dwadzieścia... Powiedział, że ona zawsze trzymała moją stronę... To prawda zresztą, bo Agnieszka kocha mnie bardzo. Potem ojciec kazał mi natychmiast pakować moje rzeczy! Ma mnie odwieźć na jakąś bardzo surową pensję, gdzie będę zamknięta, jak w więzieniu... Ale ja tam nie wytrzymam! Ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą, albo zrobię sobie coś złego!

Ostatnie słowa wymówiła z siłą, świadczącą, że może wykonać to, co zapowiada.

— Dajże spokój, Józiu — ojciec może da się uprosić, ułagodzić... ktoś pewnie naplotkował, pod-